

NATALIA CZERWIEN



NATALIA CZERWIEN

Love open



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczynie: Maria Mazurowska, Joanna Pawłowska
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała
Korekta: Anita Keler
Projekt okładki: Wojciech Bryda
Zdjęcie na okładce: © diignat / Stock.Adobe.com
Ilustracja na stronach rozdziałowych: © muuraa / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © Natalia Czerwień, 2024

Copyright © 2024, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiecte
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-392-2

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





ALEXANDER

STOJĘ NISKO NA NOGACH, ściskam mocno raketę, kątem oka spoglądam na zegar. Minęły niecałe dwie godziny, a mnie dzieli jedna piłka od spektakularnej porażki. Druga runda, trzeci set*, pięć do jednego w gemach, w punktach czterdzieści do piętnastu. Mój przeciwnik ma dwie piłki meczowe. Wątpię, żeby ich nie wykorzystał. Całe to spotkanie rozgrywa się pod jego dyktando. Ja nie mam nic do powiedzenia. W pierwszym secie jeszcze walczyłem – udało mi się wygrać cztery gemy. Set drugi to równia pochyła – młody Włoch rozbił mnie do zera. W trzecim ugrałem jeden honorowy gem i zanosi się na to, że na nim się skończy. Co tu dużo mówić – szczył jest po prostu w świetnej formie. A ja wręcz przeciwnie.

Chłopak kozłuje piłkę, podrzuca ją, serwuje. Przygotowuję się do returnu, ale piłka wypada na aut. Pierwszy błąd. Jeśli pomyli

* Wyjaśnienia pojęć związanych z tenisem można znaleźć w słowniczku umieszczonym na końcu książki.

się jeszcze raz, będę o krok bliżej przełamania. Które, nawet jeśli zdołam je wywalczyć, i tak pewnie niewiele mi da.

Ale tym razem Włoch się nie myli. Serwis jest lżejszy, piłka wpada w pole serwisowe. Przebijam ją na drugą stronę siatki, przeciwnik robi to samo. Odbijamy ją kilka razy po crossie, aż chłopak decyduje się na zmianę kierunku. Biegnę w tamtą stronę, ledwo udaje mi się dosięgnąć piłki. Liczę, że cudem przeleci na drugą stronę kortu, ale wpada w siatkę. Stoję nieruchomo, nie mogąc uwierzyć, że ten koszmar dzieje się naprawdę. Włoch wydaje okrzyk zwycięstwa. Niewątpliwie ma powody do radości. Pokonał właśnie legendę światowego tenisa. I to niemal na samym początku turniejowych rozgrywek.

Zrezygnowany podchodzę do siatki. Podajemy sobie dłonie. Chłopak uśmiecha się szeroko, mój uśmiech jest wymuszony i zapewne bliżej mu do grymasu. Mimo to gratuluję przeciwnikowi. Nie jestem aż takim dupkiem, aby publicznie obrażać się jak małolat.

Szybko zbieram swoje rzeczy, chowam do torby rakietę, ręczniki, butelki z piciem. Nic tu po mnie. To moment chwały zwycięzcy. Przegrany musi czym prędzej opuścić pole walki.

Kiedy schodzę do szatni, emocje wciąż we mnie buzują. W tle słyszę oklaski widowni, ale nie jestem pewien, czy są przeznaczone dla mnie. Nawet jeśli, to marne pocieszenie po porażce.

Wiedziałem, że po ponad rocznej przerwie spowodowanej urazem kręgosłupa powrót do najwyższej formy nie będzie łatwy, ale miałem nadzieję, że będę w pełni gotowy na nowy sezon. Tymczasem żegnam się z Australian Open już w drugiej rundzie. Ja, Alexander Hayward, wielokrotny mistrz wielkoszlemowy. Król kortów w Melbourne. Dwa lata temu triumfowałem tu czwarty raz z rzędu. Chciałem powrócić w wielkim stylu. Nie wyszło. Finał będę oglądał w telewizorze, zamiast w nim uczestniczyć.

Psycholożka, z którą współpracuję, powiedziałaaby, żebym się nad sobą nie użała. I pewnie miałaby rację. Nie należę do wrażliwców, ale ostatnie kilkanaście miesięcy dało mi w kość. I naprawdę trudno mi się pozbierać. Długo byłem na szczycie, teraz ledwo unoszę się nad dnem. Boję się, że już nigdy się od niego nie odbiję.

– Alex, mordo, nic się nie stało! – woła Martin, mój menadżer, kiedy wychodzę przed Rod Laver Arena.

Nie podzielam jego pozytywnego nastawienia. Wiem, że jako członek mojego sztabu i jedna z niewielu osób, które mogą nazwać dobrym kumplem, chce dodać mi otuchy. Tyle że to naprawdę marne pocieszenie. Byłoby już lepiej, gdyby pozostawił tę porażkę bez komentarza.

– Stało się – odburkuję, kierując się do czarnego SUV-a, który zawiezie mnie do hotelu.

To było upokorzenie.

– Oj, nie jęcz. Nikt przecież nie oczekiwał, że od razu wrócisz do formy – stwierdza Martin, na co posyłam mu mrozące krew w żyłach spojrzenie. Oczywiście nic sobie z tego nie robi. – A ty dokąd? – pyta, kiedy już prawie wsiadam do samochodu. – Nie idziesz na konferencję prasową?

Tym razem naprawdę jęczę, bo nie mam najmniejszej ochoty na tę szopkę. Mogę się założyć, że wszystkie pytania będą się kręciły wokół mojej kontuzji i dzisiejszej porażki. A ja nie cierpię mówić o tym, co mi nie wychodzi. Chwalisz się sukcesami, przemilczasz niepowodzenia – tak zostałem wychowany.

Nie chcę tam iść, ale wiem, że nie mam wyjścia. Liczę na to, że całość nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. Jeśli będę odpowiadać zdawkowo, może dziennikarze szybko się znudzą. Naprawdę nie mam teraz nastroju na analizowanie swoich potknięć.

Konferencja niestety dłuży się niemiłosiernie. Mój gburowaty ton jednoznacznie sugeruje, że nie mam ochoty rozmawiać, ale

dziennikarze zdają się tego nie zauważać. W kółko powtarzają te same pytania, tylko ubrane w inne słowa. Podniecają się moją porażką i rozkładają ją na czynniki pierwsze. Mam tego dosyć. Chcę o tym jak najszybciej zapomnieć, a nie się nad tym rozwodzić.

Daję Martinowi nieme znaki, żeby ukrócił moje męczarnie, ale on tylko wzrusza ramionami. W takich momentach nachodzi mnie myśl, że może powinienem go zwolnić. Szybko przypominam sobie jednak, jak wiele zawdzięczam temu facetowi. Fakt, czasami rzuca mnie na pożarcie mediom, ale zwykle dba o mój interes i wizerunek. W dużej mierze to właśnie dzięki niemu na moim koncie spoczywają miliony, z których wypłacam mu sowitą pensję.

Po trzydziestu minutach udręki i upokorzenia wreszcie jestem wolny. Czym prędzej opuszczam salę konferencyjną, Martin biegnie za mną. Chcę być sam ze swoimi myślami, ale menadżer nie potrafi tego uszanować i zaczyna gadać jak najęty.

– Alex, mordo, następnym razem bądź miłszy dla mediów, nie rób sobie kiepskiego PR-u. Rozumiem, że jesteś rozczarowany przegraną, ale...

– Nie, nie rozumiesz – przerywam mu ostro. – Wygrałem ten turniej sześć razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W sumie mam na koncie piętnaście tytułów wielkoszlemowych. Od wygrania pierwszego z nich, tutaj, w Melbourne, nie kończyłem rywalizacji wcześniej niż w ćwierćfinale. Przegrana w drugiej rundzie, w dodatku z jakimś ledwo znanym młodzikiem, to dla mnie zniewaga, a nie zwykła porażka. Jak mam wrócić na szczyt, kiedy jakiś gówniarz ogrywa mnie w trzech setach, oddając mi za ledwie pięć gemów?

Wiem, że Martin nie jest niczemu winien, ale musiałem to z siebie wyrzucić. Ostatni rok był dla mnie niezwykle trudny. I to nie tylko w kwestii urazów fizycznych. Psychika także nie

była w najlepszej kondycji. Mogłoby się wydawać, że po latach dominacji w światowym tenisie powinienem mieć to opanowane. Cóż, trzymałem się, póki byłem na fali. Ale razem z kontuzją wszystko zaczęło się sypać jak domek z kart. Kilkanaście miesięcy przerwy od gry, treningów, turniejów. Czułem się, jakby ktoś odciął mi dopływ tlenu, dusiłem się. Dlatego tak ważny był dla mnie powrót na kort. Chciałem znów oddychać pełną piersią.

– No cóż, wiecznie młody przecież nie będziesz – stwierdza Martin. – Musisz przywyknąć do tego, że zaczną się pojawiać młodzi, zdolni zawodnicy z chrapką na pokonanie wielkiego mistrza.

Prycham z pogardą. Nie jestem wcale stary. Fakt, w tym roku wybiją mi trzydziestka, ale przecież jeszcze daleko mi do emerytury. Utrzymuję się w rankingowej czołówce od dekady i liczę, że uda mi się w niej pozostać drugie tyle. Zakończenie kariery to dla mnie wydarzenie odległe o całe lata świetlne.

– Nawet mnie nie wkurzaj – syczę, łypiąc złowrogo na menadżera.

– Ja ci tylko mówię, jak jest. Osiągnąłeś więcej, niż niejednemu zawodowemu tenisście się śniło. Nie bądź chciwy. I tak już jesteś legendą.

– Ja jestem chciwy? – obruszam się teatralnie. – To ty z każdym moim kolejnym zwycięstwem domagasz się podwyżki.

– Wiesz, że nigdy nie byłem tani – odpowiada żartobliwym tonem. – Za jakość trzeba zapłacić.

Ten komentarz rozluźnia nieco atmosferę. Wciąż buzuje we mnie frustracja, ale towarzystwo Martina, mimo że czasami działa mi na nerwy, potrafi też poprawić humor. Akurat nie tym razem, ale powinienem docenić, że przynajmniej próbował.

Kiedy wychodzimy przed budynek biura prasowego, nigdzie nie widzę samochodu, który ma mnie odwieźć do hotelu. Martin

dzwoni do kierowcy i okazuje się, że ten musiał przeparkować i odjechał kilka ulic dalej. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, aż podjedzie.

Wzdycham ciężko, mam dość tego dnia. Marzę tylko o tym, żeby zamknąć się w pokoju hotelowym, sam ze sobą, i spróbować pozbierać myśli. Opanować emocje. Fakt, przegrywałem już, często ważniejsze mecze. Tyle że ten turniej był dla mnie szczególnie. A zakończył się fiaskiem. I to boli podwójnie.

– Panie Hayward?

Głos jest niepewny, dziewczęcy, z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem. Obracam się w lewo, skąd do mnie dotarł. Metr dalej stoi młoda dziewczyna, co najwyżej dwudziestoletnia. Wysoka, szczupła szatynka. Ma na sobie strój do tenisa z logo jednej ze znanych sportowych marek. Czyżby juniorka? W dłoni ściska piłkę tenisową i marker. O nie. Tylko nie fanka.

– Mogłabym prosić o autograf? – pyta nieśmiało.

Wydaje się speszona, ale nie ucieka wzrokiem. Wpatruje się we mnie niemal z uwielbieniem.

Nie mam nastroju na żadne uprzejmości, najchętniej odprawiłbym ją z kwitkiem. Kątem oka dostrzegam znaczący wzrok stojącego obok Martina. Przekaz jest jednoznaczny: „Ani mi się waży robić sceny, tylko grzecznie podpisz tę cholerną piłkę”.

– Jasne – zwracam się do dziewczyny i, zmuszając się do uśmiechu, sięgam po piłkę oraz flamaster. – Dla kogo?

Rzadko pytam o imiona, ale chcę udowodnić Martinowi, że stać mnie na więcej życzliwości, niż pokazałem podczas konferencji. Dziewczyna się rozpromienia, jakby trafiła główną wygraną na loterii.

– Dla Amelii – odpowiada wciąż lekko zawstydzona.

Wpisuję krótką dedykację, pod którą podpisuję się zamaszyście. W przypływie dziwnego impulsu dorysowuję uśmiechniętą

bużkę. Niech się dziewczyna cieszy. Może chociaż ona będzie miała udany dzień.

– Dziękuję – mówi, odbierając piłkę. – Jest pan inspiracją dla wielu młodych tenisistów – dodaje lekko onieśmielona, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że sama też uprawia ten sport.

Nie potrafię zareagować na jej słowa inaczej niż prychnięciem.

– Inspiracja nie dałaby się pokonać w drugiej rundzie AO.

Amelia nie wydaje się zniechęcona moją pogardliwą odpowiedzią. Wręcz przeciwnie.

Uśmiecha się jeszcze szerzej i nabiera odwagi.

– Czym jest jedna porażka w obliczu tylu wspaniałych zwycięstw? Dokonał pan niezwykłych rzeczy i na pewno wielu jeszcze dokona. I to one zapiszą się na kartach historii, a o dzisiejszej porażce wkrótce już nikt nie będzie pamiętał.

W pierwszej chwili mnie zatyka. Nie spodziewałem się usłyszeć takich słów, a już na pewno nie z ust nieznajomej nastolatki. Chcę wierzyć, że ma rację, ale w głębi duszy wiem, że dzisiejsza przegrana może się położyć cieniem na mojej dalszej karierze. I cholernie się tego boję.

– Ma dziewczyna rację – odzywa się niespodziewanie Martin, klepiąc mnie w plecy. – Nie ma się co dołować, trzeba iść dalej. O, nasz transport. – Wskazuje na nadjeżdżający samochód.

– Będę trzymać kciuki za kolejne zwycięstwa – mówi Amelia, nie przestając się uśmiechać. – Wiem, że wróci pan jeszcze do formy i znów zostanie mistrzem.

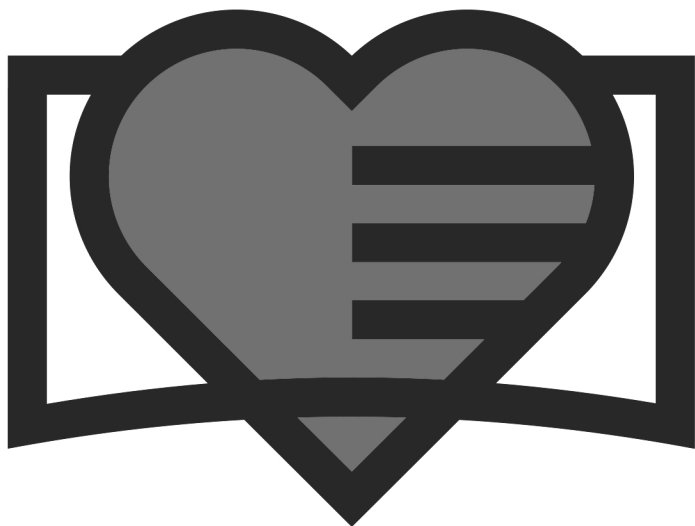
Chyba powinienem jej podziękować za tę ślepą wiarę we mnie, ale kiedy auto zatrzymuje się przed nami, Martin natychmiast otwiera drzwi i wpycha mnie do środka. Brakuje mi czasu i słów, by powiedzieć coś na pożegnanie. Spoglądam tylko przez szybę, dopóki kierowca nie ruszy z impetem. Amelia nadal stoi w tym samym miejscu i wpatruje się w piłkę z moim autografem. Na jej

twarży odmalowuje się czyste szczęście. Chciałbym, aby i mnie udzieliła się ta radość.

Samochód skręca i tracę dziewczynę z oczu. Wzdycham, opieram głowę o zagłówek fotela i zamykam oczy. Chcę wymazać ten dzień z pamięci, udawać, że się nie wydarzył. Zapomniałem już, jak bolesne mogą być porażki. A najgorsze jest to, że chyba będę musiał na nowo do nich przywyknąć.

PAPIEROWE SERCA

TO MIŁOŚĆ Z KAŻDEJ STRONY!



Wydawnictwo Papierowe Serca powstało z miłości do książek o... miłości – od niewinnej i młodzieńczej po dojrzałą i rozpalającą zmysły. W naszym katalogu znajdziecie wciągające powieści New Adult z ulubionymi motywami, romantyczne historie z elementami fantastyki oraz niegrzeczne książki z nutką pikanterii.



 **WYDAWNICTWO PAPIEROWE SERCA**
 **WYDAWNICTWOPAPIEROWESERCA**
 **PAPIEROWESERCA**
 **PAPIEROWE_SERCA**